Poul Anderson

Godni wrogowie

(Honorable Enemies)

Future Combined with Science Fiction Stories, May 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu zaczerpnięto z Internet Archive.

I

Drzwi za jego plecami otworzyły się na oścież i jakiś głos łagodnie wyszeptał:

– Dobry wieczór, kapitanie Flandry.

Odwrócił się do tyłu, z błyskawiczną szybkością chwytając za rękojeść pistoletu paraliżującego, i… nagle stwierdził że stoi spoglądając w wylot lufy blastera. Powoli pozwolił więc aby jego ręce opadły swobodnie i stał w napięciu, przesuwając wzrokiem wzdłuż broni, dalej szczupłej sześciopalczastej dłoni, która ją trzymała, a następnie wysokiego chudego ciała, aż do sardonicznie uśmiechniętej twarzy.

Twarz była humanoidalna –– szczupła, złotoskóra, o jastrzębim nosie, rozjarzonych bursztynowych oczach pod pierzastymi błękitnymi brwiami i wysokim grzebieniem ze świecących niebieskich piór, wyrastających z wąskiej, pozbawionej włosów czaszki. Istota ubrana była w prostą białą tunikę, typową dla swojego ludu, spod której wystawały nagie, ptasie stopy, zakończone szponami. Jednak na tunice widać było insygnia rangi, otaczające szyję obcego jak klejnoty. Z szerokich ramion spływał jak potok krwi, płaszcz. Merseianin.

Ale oni wszyscy powinni być zajęci w innymi miejscu –– Flandry tego dopilnował. Co więc się wyłożyło…?

Z wysiłkiem Flandry odprężył się i pozwolił aby twarz skrzywiła mu się w cienkim uśmiechu. Nieważne, kto był temu winien. Został złapany w pomieszczeniach Merseian, i musiał wymyślić jakiś sposób, aby wydostać się stąd z całą skórą. Jego umysł zmienił się w kłębowisko myśli. W końcu przypomniał sobie –– to był Aycharaych z Chereion, który dopiero kilka dni temu dołączył do personelu merseiańskiej ambasady, prawdopodobnie z jakąś misją, odpowiadającą działaniom Flandry'ego.

– Proszę o wybaczenie za to najście – powiedział. – To kwestia czysto profesjonalna. Nic osobistego, bez urazy.

– Och, z pewnością nie żywię najmniejszej – uprzejmie odparł Aycharaych. Mówił bezbłędnym anglicem, jedynie z niewielkim śladem twardego akcentu swojej rasy, w niektórych sylabach. Uprzejmości pomiędzy szpiegami, nie miały jednak żadnego znaczenia. Bez mrugnięcia okiem mógłby zastrzelić intruza z blastera, a potem wyrażać swój niezmierny i bezgraniczny żal, że zabił jednego z najlepszych oficerów wywiadu Imperium Ziemskiego, tylko dlatego, że przez pomyłkę wziął go za włamywacza.

W jakiś sposób, jednak, Flandry'emu nie wydawało się, by Chereionita mógł być zdolny do takiego prostactwa. Jego tajemniczy naród był za stary, za chłodny i za bardzo cywilizowany, a sam Aycharaych cieszył się

zbyt dużą reputacją, jako subtelny gracz. Flandry słyszał już kiedyś o nim. Musiał więc planować coś dużo gorszego.

– Ma pan całkowitą rację – skinął głową Aycharaych. Flandry drgnął zaskoczony. Czy ta istotna mogła tak dokładnie przewidzieć jego myśli? – Ale jeśli wybaczy mi pan to, co powiem, to pan sam dopuścił się drobnej niezręczności, próbując przeszukać nasze kwatery. Są dużo lepsze sposoby pozyskania informacji.

Flandry mierzył wzrokiem odległości i kąty. Na stole, tuż pod ręką stała waza. Gdyby udało mu się ją złapać i rzucić nią w dłoń w której Aycharaych trzymał broń…

Blaster niedbale zakołysał się na boki.

– Radziłbym poniechać tej próby – stwierdził Chereionita.

Odsunął się na bok.

– Dobranoc, panie kapitanie – powiedział.

Terranin ruszył w stronę drzwi. Nie mógł pozwolić na to, aby go w ten sposób wyrzucono, nie wtedy gdy cała jego misja zależała od tego by dowiedzieć się co kombinują Merseianie. Gdyby tylko udało mu się przechodząc obok nagle go odepchnąć…

Rzucił się w bok, wykręcając całe ciało, tak że znalazł się poniżej poziomu lufy blastera. Krępowany przez większą siłę przyciągania, niż ta do której przyzwyczajona była jego pochodząca z małej planety rasa, Aycharaych nie był w stanie dostatecznie szybko odskoczyć. Ale machnął brutalnie blasterem, z niechybną precyzją, uderzając nim w szczękę Flandry’ego. Terranin stracił równowagę, chwytając się szczupłej talii Chereionity. Aycharaych rąbnął go w podstawę czaszki, i człowiek upadł na podłogę.

Leżał na niej przez chwilę, łapiąc oddech, z twarzy spływała mu krew. Głos Aycharaycha zadrwił z niego, gdzieś z ryczącej ciemności.

– Naprawdę, kapitanie Flandry, miałem o panu lepsze mniemanie. Teraz prosiłbym, aby pan wyszedł.

Obolały Terranin pozbierał się na nogi i wyszedł przez drzwi.

Aycharaych stał w wejściu, obserwując jak odchodzi, z lekkim uśmieszkiem na twardej, szczupłej twarzy.

Flandry szedł niekończącymi się korytarzami z wygładzonego kamienia, do siedziby wyznaczonej dla ziemskiej misji. Większość z ludzi była na święcie, zdobione pomieszczenia świeciły pustkami. Rzucił się na fotel i wezwał swojego osobistego niewolnika, aby przyniósł mu drinka. Mocnego.

Spoza pleców dobiegł do niego odgłos lekkich kroków i sugestywny szelest długiej silkitowej spódnicy. Obejrzał się do tyłu i zobaczył Aline Chang-Lei, Lady Marr z Syrtis, jego partnerkę w tej misji i jedną z najpiękniejszych kobiet Sol… jak również jedną z najlepszych agentek jego wywiadu.

Była wysoka i szczupła, miała ciemne włosy i oczy, wystające kości policzkowe i skórę koloru kości słoniowej, wskazującą na wymieszane

dziedzictwo, jakie było udziałem większości Terran z obecnych czasów. Jej suknia w odcieniu błękitu morskiego, bardziej niż uwypuklała odpowiednie cechy jej figury. Flandry lubił na nią patrzeć, chociaż do tego czasu stał się naprawdę dosyć odporny na kobiece piękno.

– Co się stało? – spytała bez ogródek.

– A co cię tutaj sprowadza? – odparł. – Myślałem, że będziesz na przyjęciu, pomagając rozpraszać wszystkich obecnych.

– Chciałam tylko przez chwilę odpocząć – powiedziała. – Oficjalne wystąpienia na Sol stały się straszliwie nudne i przytłaczające, ale na Betelgeuse, z kolei popadają w przeciwną skrajność. Chciałam przez chwilę posłuchać ciszy. – A potem z poważną troską. – Ale ty wpadłeś w tarapaty.

– Jak u diabła się to stało, nie mam najmniejszego pojęcia – przyznał Flandry. – Słuchaj… nakłoniliśmy Sartaza, aby nawiązał kontakt z każdym zaproszonym. Upewniliśmy się dwa razy, że każdy Merseianin na tej planecie tam będzie. Ufają, że te ich robozamki, zabezpieczają w pełni ich kwatery. Nie mieli absolutnie żadnej możliwości, aby się dowiedzieć, że znalazłem sposób na wyzerowanie robozamka. I co się zdarzyło? Ledwie dostałem się do środka, a tu wchodzi Aycharaych z Chereion, z blasterem w swojej małej skorej do akcji dłoni. Potrafi przewidzieć wszystko czego spróbowałem i na koniec pokazuje mi drzwi. Finis.

– Aycharaych… słyszałam gdzieś to nazwisko. Ale nie wydaje się ono brzmieć po merseiańsku.

– Bo nie jest. Chereion jest drugorzędną, ale starą planetą w Imperium Merseiańskim. Jej mieszkańcy mają pełne obywatelstwo wspólnie z rasą dominującą, dokładnie na tej zasadzie jak nasze imperium przyznaje obywatelstwo ziemskie wielu nieludziom. Aycharaych jest jednym z najlepszych agentów wywiadu Mersei.

– Teraz już wiem o kogo ci chodzi – skinęła głową. – Jeżeli, jak mówisz, on jest tutaj, na Alfzar, to nie jest dobra wiadomość.

Flandry wzruszył ramionami.

– No cóż, po prostu będziemy musieli teraz wziąć go pod uwagę. Tak jakby ta misja nie była już i tak wystarczająco trudna!

Wstał i podszedł do balkonowego okna. Oba księżyce Alfzar były wysoko na niebie, zalewając miedzianą poświatą obszerne tereny pałacowych ogrodów. Powiewy ciepłego wiatru przynosiły zapachy dziwnych kwiatów, które nigdy nie kwitły pod światłem Sol, a ucho wychwytywało ciche dźwięki niezwykłej, pozbawionej tonów muzyki, jaką zachwycali się monarchowie z Betelgeuse.

Przez chwilę, przyglądając się rudawemu światłu księżycowemu i gęstym kłębowiskom gwiazd, Flandry poczuł w duszy falę zniechęcenia. Galaktyka była za duża. Już cztery miliony gwiazd należące do Imperium Terrańskiego, to było za dużo, by jeden człowiek mógł je wszystkie poznać, nawet poświęcając na to cały czas swojego życia. A w

ciemnościach kosmosu były przecież także rywalizujące z nim imperia. Gorrazan, Ythri, Merseia, jak głodne drapieżniki czyhające na zdobycz…

Za dużo, za dużo. W potężnym chaosie, jakim była współczesna cywilizacja, jednostka nie liczyła się niemal w ogóle. Pomyślał o Aline. To do niej należało aby wiedzieć, kim były takie istoty jak Aycharaych, ale głowa jednego człowieka nie była w stanie ogarnąć całego wszechświata. Brakowało odpowiedniej wiedzy i możliwości.

Za dużo ras, które są dla siebie obce. Za dużo zderzających się nawzajem w kosmosie sił, i tak rozpaczliwe niewielu, którzy pojmowali sytuację i próbowali dołączyć swoje słabe siły, aby pomóc. Nagie dłonie, próbujące powstrzymać lawinę, która przyciskała ich do ziemi.

Alina podeszła i chwyciła go za ramię. Jej biała, śliczna twarz skierowała się w górę, w stronę jego, niewyraźna w księżycowym świetle, ze spojrzeniem, które znał aż za dobrze. Kiedy i jeżeli wrócą na Terrę, będzie musiał jej unikać. Nie chciał jej zranić, ale również nie mógł związać się z jakąkolwiek osobą.

– Zniechęciłeś się po jednym niepowodzeniu? – spytała lekkim tonem. – Dominic Flandry, który jedną ręką podbił Scothanię, zatroskany jednym delikatnym ptasiopodobnym stworzeniem?

– Ja tylko nie mam pojęcia, skąd on wiedział, ze mam zamiar przeszukać to miejsce – wymamrotał Flandry. – Nigdy jeszcze nie zostałem w taki sposób przyłapany, nawet kiedy byłem najbardziej nieopierzonym żółtodziobem w Służbie. Aycharaych załatwił już wcześniej paru naszych najlepszych ludzi. Jestem przekonany, że zniknięcie MacMurtrie na Polaris, to była jego robota. Być może teraz przyszła kolej na nas.

– Och, dajmy już sobie z tym spokój – roześmiała się. – Kiedy ci o nim opowiadali, musiałeś chyba pić sorgan.

– Sorgan? – Jego brwi uniosły się ze zdziwienia.

– Ach, a więc teraz ja mogę powiedzieć ci coś, o czym nie wiedziałeś. – Desperacko usiłowała udawać ożywienie. – Nie jest to zresztą nic specjalnie ważnego. Kiedyś tylko słyszałam o tym podczas jakiejś rozmowy, z jednym z alfzariańskich specjalistów od narkotyków. To jakieś prochy produkowane na jednej z tutejszych planet –– Cingetor, jak mi się wydaje –– które mają interesującą właściwość wyłączania pewnych ośrodków mózgowych, tak że ofiara traci zupełnie zmysł krytyczny. Absolutnie wierzy we wszystko, co jej się powie.

– Hm. To mogłoby być użyteczne w naszej robocie.

– Nie za bardzo. Jeżeli chodzi o przesłuchania, to lepsze są hipnosondy, a do produkcji fanatyków też są bardziej pewne metody. Na ten narkotyk również jest antidotum, które daje także trwałą odporność. A więc, tak naprawdę, to nie ma zbyt wielkiego zastosowania, i Sartaz zakończył jego wytwarzanie.

– Powinienem wiedzieć, że nasz Wywiad będzie chciał mieć troszeczkę pod ręką, tak na wszelki wypadek – stwierdził domyślnie. – I oczywiście pewni wysoko postawieni ludzie, we wszystkich imperiach, nie wyłączając naszego, uznają ten środek za wygodne rozwiązanie w sprawach miłosnych.

– O czym ty myślisz – drażniła się z nim.

– O niczym, ja go nie potrzebuję – oznajmił z samozadowoleniem w głosie.

Chwila dygresji wyrwała go z ponurego nastroju.

– Chodźmy – powiedział do niej. – Przyłączmy się do bawiących.

Ruszyła razem z nim, idąc u jego boku. Rozglądała się wokoło badawczym spojrzeniem.



II

Gigantyczne gwiazdy zazwyczaj mają wiele planet, i Betelgeuse, z czterdziestoma siedmioma, nie była pod tym względem wyjątkiem. Spośród nich, na sześciu mieszkały inteligentne tubylcze rasy, a połączone zasoby całego układu były znaczące, nawet dla cywilizacji przywykłej do myślenia w kategoriach tysięcy gwiazd.

Kiedy przybyli tutaj pierwszy odkrywcy ziemscy, niemal przed tysiącem lat, stwierdzili że istoty zamieszkujące Alfzar opanowały już technikę podróży międzyplanetarnych i były w trakcie procesu podboju innych planet –– który to proces znacznie przyśpieszył po błyskawicznym zaadaptowaniu bardziej rozwiniętej ludzkiej technologii. Jednak nie próbowały one stworzenia imperium na skalę Sol czy Mersei, kontentując się utrzymywaniem hegemonii nad pobliskimi gwiazdami, w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Dochodziło do pewnych starć z rozprzestrzeniającymi się wokół nich potęgami, ale pokolenia podstępnych Sartazów stwierdziły, że bardziej opłaca się rozgrywać potencjalnych wrogów, jednych przeciwko drugim. A wielkie państwa z kolei uznały za korzystne utrzymywać Betelgeuse, jako bufor przeciwko swoim rywalom, oraz przeciwko peryferialnym ludom barbarzyńskim.

Jednak wzbierające napięcie między Merseią i Terrą podniosło Betelgeuse do rangi miejsca o krytycznym znaczeniu. Leżała ona bowiem bezpośrednio pomiędzy tymi dwoma wielkimi imperiami, a przy pomocy swojej silnej floty mogła kontrolować najkrótszą drogę pomiędzy nimi. Gdyby sprzymierzyła się z którąś ze stron, mogłaby pomóc uderzyć w samo serce drugiej z nich. Jeżeli Merseia zdołałaby zawrzeć ten sojusz, to bardzo prawdopodobnie stanowiłoby to ostatni etap przygotowań, jakie uznawała za konieczne do wojny z Terrą. Gdyby zawarła go Terra, Merseia nagle znalazłaby się w dużo gorszej pozycji i niemal na pewno musiałaby pójść na ustępstwa.

A więc oba imperia przysłały na Alfzar swoje misje dyplomatyczne, próbujące przekonać Sartaza do szczerości swoich zamiarów i niezmiernych zysków, jakie przeniesie mu sojusz z nimi. Kiedy tylko było to możliwe, stosowano różnego rodzaju naciski. Chojnie przekupywano urzędników. Szpiedzy wręcz roili się wokół układu, próbując zdobyć wszystkie informacje, jakie tylko mogli, a w razie ich złapania, ich rządy gotowe były –– oczywiście –– natychmiast się ich wyprzeć.

To były normalne rokowania dyplomatyczne, ale ich krytyczne znaczenie spowodowało że Służba wysłała na Betelgeuse dwoje swoich najlepszych agentów Flandry'ego i Aline, aby zrobili wszystko co się da dla przekonania Sartaza, znalezienia jego słabych stron i wrzucenia ilu się tylko da kamieni, w tryby machiny działań merseiańskich. Aline była szczególnie przydatna do pracy nad wieloma ludźmi, którzy osiedlili się w

tym układzie dawno temu, i stali się obywatelami królestwa. Paru z nich zajmowało nawet istotne stanowiska w rządzie i wojsku. Flandry…

A teraz okazało się, że Merseia także wezwała swojego najlepszego szpiega, i subtelna, pełna uprzejmości, śmiertelnie niebezpieczna gra, była już w toku.

Sartaz zorganizował dla swoich szacownych gości wyprawę myśliwską. Jego sardonicznemu temperamentowi spodobał się pomysł, aby zebrać razem wrogów, w sytuacji w której musieli odnosić się do siebie nawzajem w przyjazny sposób. Większość z Merseian również musiało być bardzo zadowolonych: polowanie było ich ulubioną rozrywką. Jeżeli chodzi o bardziej mieszczuchowatych Ziemian, to nie byli z tego powodu specjalnie szczęśliwi, ale w żaden sposób nie mogli odmówić.

Flandry był w szczególnie podłym nastroju z powodu oczekujących go perspektyw. Nigdy specjalnie nie przepadał za wysiłkiem fizycznym, chociaż utrzymywał swoje ciało w dobrym stanie, jako warunek konieczny funkcjonowania w jego zawodzie. A ponadto miał za dużo ważniejszych spraw do zrobienia.

Zbyt wiele rzeczy szło katastrofalnie źle. Siatka agentów, złożona z zarówno Imperialnych, jak i przekupionych Betelgeusan –– którzy bezpośrednio lub pośrednio mu podlegali –– stanęła nagle wobec poważnych problemów. Jeden po drugim zaczęli znikać, wpadać w merseiańskie lub betelgeusańskie pułapki, zaczęli donosić, że ich najlepsze dojścia zostały zablokowane poprzez niespodziewany wzrost czujności. Flandry nie potrafił zlokalizować źródła kłopotów, ale ponieważ rozpoczęły się wraz z przybyciem Aycharaycha, nietrudno było się domyślić. Cholerny Chereionita był wystarczająco sprytny, aby domysły te okazały się prawdą. Diabli nadali, to po prostu było niemożliwe, żeby ktokolwiek dowiedział się o tych projektach Juroviana, albo żeby odkrył tę kryjówkę Yamatsu, albo… A teraz jeszcze ta przeklęta wyprawa na polowanie! Flandry jęknął w duchu.

Jego niewolnik obudził go o świcie. Mgła zabarwiona krwistym odcieniem przez czerwone słońce, napływała przez wysokie okna jego apartamentu. Ktoś, gdzieś, zadął w róg, dziki zew w niewyraźnym tajemniczym, świetle. Potem usłyszał odgłos warkotu rozgrzewanych silników.

– Czasami – kwaśno wymamrotał pod nosem, – mam chęć pójść do Imperatora i powiedzieć mu gdzie może sobie wsadzić to swoje ukochane Imperium.

Śniadanie spowodowało, że wszechświat stał się nico bardziej do zniesienia. Flandry ubrał się z charakterystyczną dla niego drobiazgową troską. Ozdobna zielona marynarka, ciasno przylegająca do ciała i złoty płaszcz z kapturem i goglami. U pasa zwisająca broń igłowa i miecz do pojedynków. Chwila dla niewolnika na wyrównanie rudawo-brązowych wąsów, z mikrokosmiczną precyzją, jakiej zawsze wymagał. Potem zszedł

dwa piętra na dół marmurowymi schodami, minął królewskich gwardzistów w hełmach i napierśnikach i wyszedł na dziedziniec.

Uczestnicy polowania już się zbierali. Był wśród nich sam Sartaz, typowy humanoid z Alfzar –– niski, krępy, bezwłosy, o niebieskiej skórze i wielkich żółtych oczach w okrągłej, spłaszczonej z przodu, głowie. Oprócz niego byli także inni możnowładcy z Alfzar i stowarzyszonych z nią planet, jeszcze więcej gwardzistów, feeria kolorów w rozjaśniającym się półmroku poranka. Na miejscu pojawili się także inni dyplomaci z regularnej ambasady Terrańskiej i misji specjalnej, grupa udręczonych i wyglądających na strasznie nieszczęśliwych ludzi. No i oczywiście byli tam Merseianie.

Flandry wygłosił w stosunku do wszystkich formalne powitanie –– pomimo wszystko pomiędzy Terrą a Merseią, nominalnie panował pokój, chociaż na pograniczu zastrzelono już wielu ludzi i spalono wiele miast. Jego szare oczy wyglądały na zaspane i obojętne, ale nie przepuścił najdrobniejszego szczegółu z wyglądu wrogów.

Merseiańscy możnowładcy spoglądali na niego z ledwie skrywaną pogardą, którą odczuwali wobec wszystkich ludzi. Byli ssakami, widać było po nich jednak znacznie więcej gadziego dziedzictwa, niż w przypadku Terran. Potężnie umięśnione dwumetrowe olbrzymy, z kościstym grzebieniem biegnącym od czoła, do samego końca długiego, grubego ogona, którego potrafili używać ze straszliwym skutkiem w czasie walki wręcz. Pokrywająca ich ciała, pozbawiona włosów, skóra miała zielony kolor i była lekko poznaczona łuskami, ale ich masywne twarze wyglądały praktycznie jak ludzkie. Aroganckie czarne oczy pod ciężkimi łukami brwiowymi, odpowiadały wyzywająco na spojrzenia Flandry’ego.

Mogę zrozumieć, dlaczego on tak nami gardzą, pomyślał sobie. *Ich cywilizacja jest młoda i pełna wigoru, całą swoją energię bezwzględnie kierują na zewnątrz. Terra jest stara, syta… dekadencka. Cała nasza polityka nakierowana jest na utrzymanie galaktycznego status quo, nie dlatego że jesteśmy takimi miłośnikami pokoju, tylko dlatego że obecny układ rzeczy jest dla nas wygodny. Stoimy na drodze marzeniom Mersei o wszechogarniającym Imperium Galaktycznym. Jesteśmy pierwszymi, których muszą zniszczyć.*

Tak się zastanawiam… z historycznego punktu widzenia, to oni mogą być tą dobrą stroną. Ale Terra w swojej historii widziała już zbyt wiele rozlanej krwi, ma zbyt mądre i za bardzo znużone poglądy na życie. Zrezygnowaliśmy z poszukiwania doskonałości i chwały –– odkryliśmy że to tylko chimeryczne mrzonki. Ale ta wiedza stała się dla nas czymś w rodzaju śmierci.

Tym niemniej… z pewnością nie chciałbym zobaczyć planet stojących w płomieniach, zniewolonych ludzi i obcej kultury przejmującej naszą przyszłość. Terra skłonna jest do zawarcia kompromisu. Ale Merseia zawrze kompromis jedynie z przemożną siłą. I właśnie z tego powodu tutaj jestem.

W skłębionej czerwonej mgle, coś się poruszyło i nagle obok niego pojawiła się wysoka postać Aycharaycha. Na szczupłej twarzy Chereionity widniał przyjazny uśmiech.

– Witam pana, kapitanie Flandry – powiedział.

– Och… dzień dobry – odparł Flandry, rozluźniając się. Ptasiopodobny wyprowadzał go z równowagi. Po raz pierwszy spotkał kogoś lepszego od siebie pod względem profesjonalnym, i wcale mu się to nie podobało,

Nie mógł jednak nic na to poradzić, że osobiście polubił Aycharaycha. Kiedy tak stali czekając, zagłębili się w dyskusję o Polaris i jej dziwnych planetach, od których konwersacja podryfowała do „antropologii" porównawczej głównych wzorców istot żywych w Galaktyce. Aycharaych posiadał potężne pokłady wiedzy, i zgryźliwy humor, bardzo odpowiadający Flandry'emu. Kiedy zabrzmiał sygnał rogu na zbiórkę, wymienili pełne żalu spojrzenia, odważnych wrogów. *To szkoda, że musieliśmy znaleźć się po przeciwnych stronach. Gdyby sprawy ułożyły się inaczej*…

Ale nie ułożyły się.

Myśliwi zapięli się w małych, jednoosobowych odrzutowcach. Na dziobie każdego z nich znajdował się emiter punktowego promienia, niezbyt silne uzbrojenie, kiedy poluje się na borthudiańskie smoki. Flandry'emu przyszło do głowy, że Sartaz jeszcze bardziej by się ucieszył, gdyby łowy pozwoliły mu się pozbyć jednego lub większej liczby gości.

Eskadra wzleciała w niebo i pomknęła na północ, w stronę gór. Pod nimi, w rozchodzącej się mgle rozciągały się pola i lasy, a potężny czerwony dysk Betelgeuse wznosił się coraz wyżej na purpurowym niebie. Wbrew sobie, Flandry cieszył się beztroską, szybkością i rykiem rozcinanego powietrza. Takie gnanie przez świat, by na jego krańcach walczyć z potworami, dawało boskie uczucie.

W ciągu kilku godzin znaleźli się nad Górami Borthudiańskimi, a wokół nich strzelały w niebo smukłe, szarpane wiatrem szczyty, ze śniegiem na zboczach, wyglądającym w tym złowieszczym świetle, jak krew. Przez radio zaczęły docierać sygnały: zwiadowcy w kilku miejscach dostrzegli smoki i samolot za samolotem wyłamywały się z szyku, podążając za nimi. Wkrótce Flandry pozostał tylko sam na sam, z jakimś innym statkiem.

Kiedy krążyli z szumem nad postrzępionymi graniami i przepastnymi kanionami, zobaczył jak z ziemi unoszą się dwa cienie i mięśnie brzucha ścisnęły się mu lekko. Smoki!

Potwory miały rozmiary dobrych dziesięciu metrów, długie, wężowate, z potężnymi pyskami i szponami, które były w stanie rozedrzeć stal. W powietrze unosiły je olbrzymie skórzane skrzydła, szybowały na wietrze z wielkopańską arogancją, z jaką polowały na wielkie bestie, które terroryzowały wieśniaków, ale dla nich były jedynie zdobyczą.

Flandry szarpnął swoim samolotem i runął na jednego z nich. Urósł mu w oczach do potwornych rozmiarów. Pochwycił czerwony blask ślepi zwierzęcia, kiedy skręciło w jego stronę. Nie było możliwości że ucieknie, smoki nigdy nie nauczyły się bać ludzi. Wznosił się coraz bardziej, zmierzając w jego kierunku.

Nacisnął spust broni i cienki sztylet energii wyskoczył, przepalając łuski stworzenia i zagłębiając się w jego brzuchu. Smok utrzymywał jednak kurs na zderzenie. Flandry usunął mu się z drogi, potężne skrzydła uderzyły zaledwie metry od niego.

Nie wziął jednak pod uwagę ogona. Zwierzę machnęło nim dziko i uderzenie niemal wytrzęsło mu wszystkie zęby. Odrzutowiec zachwiał się i wpadł w korkociąg. Smok wykręcił się w jego stronę i straszliwe pazury przebiły się przez cienkie poszycie kadłuba.

Flandry szaleńczo szarpnął sterami, wyrywając się na wolność. Wykręcił beczkę, metal głośno wrzasnął w proteście, kiedy zwinął się ostro w ciasnym skręcie, aby stawić czoła atakowi. Igła jego lasera strzeliła pomiędzy rozdziawione szczęki i smok zachwiał się w locie. Flandry oderwał się od niego i ponownie wystrzelił, trafiając w jedno ze skrzydeł.

Usłyszał ryk smoka. Kiedy próbował odskoczyć, tamten pomknął prosto na niego, skręcając z fantastyczną szybkością i precyzją. Potworne szczęki zatrzasnęły się i cała sekcja poszycia kadłuba została wyrwana z ożebrowania. Wpadający do środka wiatr parzył człowieka paraliżującym zimnem.

Rzucił się na oślep na spotkanie nurkującego potwora, laser z przodu płonął jak lanca. Smok zaczął się wycofywać. Flandry ścigał go z szaleńczym uśmiechem na twarzy, strzelając bez opamiętania i raniąc.

Porozbijany odrzutowiec zachowywał się ociężale. W pewnej chwili podczas lotu poleciał w dół i smok zniknął mu z celowników. Pracując skrzydłami wyciągnął maszynę i obracając się odszedł w bok, a smok ponownie ruszył za nim.

Przeklęte stworzenie zmuszało go do ucieczki w stronę poznaczonego skałami zbocza górskiego. Ich wierzchołki wyciągały w jego stronę swoje głodne paluchy, a wiatr zdawał się być demonem nieustępliwie spychającym go coraz bliżej katastrofy. Desperacko skręcił, uświadamiając sobie z ponurą bezwzględnością, że sytuacja zmieniła się w walkę o życie, z dużo większymi szansami po stronie smoka.

Czy taki miał być jego koniec, czy miał się roztrzaskać o zbocze góry i zostać pożarty przez swoją własną zdobycz… Walczył o odzyskanie kontroli nad sterami.

Smok już prawie siedział na nim, mknąc w dół jak błyskawica. Być może zdoła przetrwać kolizję, ale odrzutowiec z pewnością zostanie strącony na ziemię. Flandry ponownie wystrzelił, próbując się wyrwać. Smok zrobił unik i już nadlatywał z błyszczącymi wielkimi zębami.

Nagle zatoczył się i odpadł w bok. Drugi odrzutowiec zaszedł go od tyłu, przypalając go ze śmiertelną precyzją. Flandry'emu przemknęło przez głowę, że drugi ze smoków musi być martwy, i teraz polujący na niego łowca przyszedł mu z pomocą… niech błogosławią mu wszyscy bogowie, kimkolwiek by nie był!

Nawet teraz, kiedy go obserwował, smok spadał na ziemię, zwijając się i kłapiąc zębami w agonii. Uderzył w skalny występ i legł nieruchomo.

Flandry zszedł swoim odrzutowcem do lądowania, w pobliżu tego miejsca. Odreagowując aż cały się trząsł, ale głównym uczuciem jakie go opanowało był niespodziewany, przytłaczający smutek. Kolejne odważne stworzenie stoczyło się w mrok, starte przez bezlitosne tryby historii, których jedynym celem zdawało się być zniszczenie. Kiedy wylądował, uniósł rękę w salucie.

Drugi z odrzutowców już wylądował kilka metrów dalej. Kiedy Flandry unosił pokrywę kokpitu, jego pilot był już na zewnątrz.

Aycharaych.

Reakcja mężczyzny była niemal natychmiastowa. Wdzięczność i honor nie miały swojego miejsca w ponurej etyce Służby… to był jego największy wróg, zupełnie niczego się nie podejrzewający, a zastrzelenie go, było najprostszą rzeczą w świecie. Aycharaych z Chereion, zginął podczas łowów na niebezpieczną zwierzynę, co za nieszczęście… a na wyrzuty sumienia będzie czas później, kiedy nadejdzie właściwa pora.

Jego pistolet igłowy był na wpół drogi z kabury, kiedy broń Aycgaraycha znajdowała się już w jego ręku. Przez huk wiatru usłyszał spokojny głos obcego:

– Nie.

Wyciągnął ręce do góry i gorzko się uśmiechnął.

– No, dalej – ponaglił go. – Masz mnie na muszce.

– Nie mam takiego zamiaru – odparł Aycharaych. – Niech pan mi wierzy, kapitanie Flandry, nigdy pana nie zabiję, chyba że w samoobronie. Ale ponieważ zawsze będę znał pańskie plany z góry, równie dobrze może pan z nich zrezygnować.

Człowiek skinął głową, za bardzo zmęczony, aby poczuć szok niesamowitego odkrycia, którego był świadkiem.

– Dzięki – powiedział. – To jest, chciałem powiedzieć, za uratowanie mi życia.

– Jest pan za bardzo przydatny, żeby umrzeć – słodko odparł Aycharaych, – ale osobiście cieszę się z tego.

Ucięli łeb smoka i polecieli wolno w stronę pałacu. Umysł Flandry'ego wirował z narastającą konsternacją.

Był tylko jeden sposób w jaki Aycharaych mógł poznać jego morderczy plan, natychmiast potem kiedy w ogóle powstał w jego głowie. I ten sam fakt wyjaśniał skąd wiedział o wszystkich działaniach i projektach jakie próbowali podjąć Terranie, w jaki sposób mógł doprowadzać każdego z nich do frustracji, podczas gdy jego własne plany toczyły się dalej, bez przeszkód.

Aycharaych potrafił czytać myśli!

III

Twarz Aline była pełna napięcia, a w czerwonym świetle zalewającym wnętrze pokoju, wyglądała szczególnie blado.

– Nie – wyszeptała.

– Tak – ponuro potwierdził Flandry. – To jedyne wyjaśnienie.

– Ale telepatia… wszyscy znają jej ograniczenia.

Flandry skinął potwierdzająco.

– Wzorce umysłowe różnych ras są tak odmienne, że telepata, aby mógł je wyczuć, musiałby niejako nauczyć się obcego „języka” dla każdego z gatunków –– a tak naprawdę to dla każdej osoby spośród nie-telepatów, których pozbawione zdolności do wzajemnego kontaktu umysły, tworzą czysto indywidualne typy myśli. Nawet wtedy to jest bardzo nieregularne i nie można na tym polegać. Nigdy nie pozwoliłem, aby przestudiował mnie jakiś telepata, który nie jest po naszej stronie, a więc zawsze czułem się bezpiecznie.

– Ale Chereion to bardzo stara planeta. Wśród co bardziej podejrzliwych Merseian, jego rodacy mają reputację czarowników. W rzeczywistości, oczywiście, spowodowane jest to tym, że udało im się odkryć pewne sprawy związane z systemem nerwowym, których istnienia nikt inny nawet jeszcze nie podejrzewał. A jakiś sposób Aycharaych musi mieć możliwość detekcji swoistych podstawowych wzorców rezonansowych, wspólnych dla wszystkich istot inteligentnych.

– Jestem pewien, że potrafi on czytać tylko myśli powierzchniowe, te które bezpośrednio, w danej chwili są, znajdują się w świadomości. Inaczej dowiedziałby się już tak wiele od tych wszystkich Terran, z którymi musiał wcześniej się kontaktować, że do tego czasu Merseia rządziłaby Sol. Ale to i tak jest naprawdę fatalny pasztet!

Aline ponuro stwierdziła:

– Nic dziwnego, że uratował ci życie. Stałeś się najbardziej wartościowym człowiekiem, który stoi po jego stronie!

– I absolutnie nic nie mogę z tym zrobić – równie posępnie przyznał Flandry. – Spotyka mnie codziennie. Nie wiem jaki zasięg ma jego umysł, prawdopodobnie tylko parę metrów. Wiadomo że wszelkiego rodzaju impulsy umysłowe są słabe i szybko rozpraszają się z odległością. Ale co najmniej za każdym razem, kiedy mnie spotyka, przegląda mój umysł, odczytuje wszystkie moje plany… a ja nic nie mogę na to poradzić, że o nich przez cały czas myślę… a potem podejmuje odpowiednie działania, aby im zapobiec.

– Musimy zebrać zespół naukowców z Imperium, żeby opracowali ekran umysłowy.

– Oczywiście. Ale teraz w niczym nam to nie pomoże.

– Nie mógłbyś po prostu zacząć go unikać, siedzieć w swoich pokojach…

– Pewnie. I wyeliminować się z gry. Muszę przebywać w terenie, spotykać się z moimi agentami i ludźmi rządzącymi Betelgeuse, poznawać nowe fakty i utrzymywać działanie swojej siatki. A każda rzecz, jakiej się dowiem, to po prostu kolejna robota wykonana dla Aycharaycha… bez najmniejszego wysiłku z jego strony. – Flandry wsadził papierosa w płomień zapalniczki, i zaczął nerwowo wydmuchiwać kłęby dymu. – Co z tym zrobić, co zrobić?

– Cokolwiek byśmy nie zrobili – zauważyła Aline, – trzeba to zrobić szybko. Sartaz zachowuje się coraz chłodniej w stosunku do naszych ludzi. Podczas gdy mu popełniamy błędy i ponosimy porażki, Aycharaych działa –– przekupuje, szantażuje wywiera wpływ, na jednego kluczowego oficjela po drugim. Pewnego pięknego poranka obudzimy się i stwierdzimy, że jesteśmy pod kluczem, a Betelgeuse stała się lojalnym sojusznikiem Mersei.

– Wspaniała perspektywa – kwaśno podsumował Flandry.

Ciemniejące czerwone światło słoneczne wlewało się przez okna pokoju, tworząc na podłodze cienie, przypominające kałuże zaschłej krwi. W pałacu panował zupełny spokój, możnowładcy odpoczywali po polowaniu, a służba biegała, przygotowując nocną ucztę. Flandry rozejrzał się, spoglądając na niesamowite dekoracje, nieziemskie światło i niezwykle poplątany pejzaż za oknami. Dziwny świat, z dziwnym słońcem, a on jest potencjalnym więźniem jego obcych i coraz bardziej wrogich mieszkańców. Nagle naszło go szaleńcze uczucie zatrzaskującej się wokół niego pułapki.

– Pewnie powinienem namotać teraz jakąś wyrafinowaną kontrintrygę – powiedział pozbawionym nadziei głosem. – I wtedy, oczywiście będę musiał zejść na dół, na bankiet, co pozwoli Aycharaychowi odczytać jej każdy szczegół. Każda, najdrobniejsza nawet sprawa o jakiej wiem stoi otworem dla jego oczu, ponieważ po prostu nie jestem w stanie wygasić moich własnych myśli…

Oczy Aline rozszerzyły się, a jej szczupła dłoń zacisnęła się na jego ręce.

– O co chodzi? – spytał ją. – Masz jakiś pomysł?

– Och… nic, Dominicu, nic. – Uśmiechnęła się ze znużeniem. – Mam pewien bezpośredni kontakt z Sol, i …

– Nigdy mi o nim nie mówiłaś.

– Nie było żadnego powodu, żeby ci o tym wspominać. Tak tylko się zastanawiałam, czy powinnam wysyłać raport o naszym nowym problemie, czy nie. Galaktyka chyba tylko wie, jak ci tępogłowi biurokraci u nas w domu, zareagują na takie wieści. Prawdopodobnie zabiorą nas stąd z powrotem i zdegradują za niekompetencję.

Pochyliła się bliżej niego i jej głos stały się cichy i pośpieszny.

– Idź, i znajdź Aycharaycha, Dominicu. Porozmawiaj z nim, zajmij go czymś i nie pozwól, żeby zbliżył się do mnie i próbował przeszkodzić. Oczywiście on będzie zdawał sobie sprawę z tego co robisz, ale jeżeli jesteś takim inteligentnym rozmówcą, jak się o tobie mówi, to niewiele będzie mógł z tym zrobić. Przekaż też jakąś wymówkę z mojej strony, tak abym nie musiała brać udziału w bankiecie –– powiedz im, że jestem chora, czy coś takiego. Trzymaj *go* z dala ode mnie!

– Dobrze – powiedział z odrobiną swojego dawnego ducha. – Ale cokolwiek hołubisz w tej swojej pięknej główce, lepiej zajmij się tym szybko. On rzuci się na ciebie już wkrótce, wiesz przecież o tym.

Wstał i wyszedł. Przyglądała się mu jak idzie, a na jej wargach zaświtał uśmiech.

Wspaniała perspektywa – kwaśno podsumował Flandry.

Kiedy przyjęcie się zakończyło, Flandry był nieco bardziej niż trochę pijany. Na betelgeusańskim bankiecie wino płynęło szerokim strumieniem, w towarzystwie muzyki, jedzenia i tańczących dziewcząt, ze wszystkich obecnych na sali ras. Bawił się dobrze –– pomimo wszystko –– a najbardziej, jak sam uczciwie przyznawał, cieszyła go rozmowa z Aycharaychem. Ta istota była najwyższej klasy geniuszem, w niemal każdej dziedzinie, i z przyjemnością zapomniał na chwilę o nadchodzącej straszliwej katastrofie.

Wszedł do swoich komnat. Aline stała koło małego stolika i od jej rozsypanych włosów i migoczącej szaty, którą na sobie miała, odbijało się przyćmione światło. Impulsywnie, pocałował ją.

– Witaj, kochanie – powiedział. – To miło z twojej strony, że na mnie zaczekałaś.

Nie wyszła do własnego apartamentu. Zamiast tego, uniosła jeden ze zdobionych pucharów, stojących na stoliku.

– Dominicu, wypij drinka do poduszki – zachęciła go.

– Nie, dzięki. Mam już absolutnie dosyć.

– Dla mnie – Uśmiechnęła się nie do odparcia. Stuknął się z nią szkłem i pozwolił, aby ciemne wino spłynęło mu do gardła.

Miało jakiś szczególny smak, i nagle poczuł że kręci mu się w głowie, pokój faluje, a podłoga przechyla mu się pod nogami. Usiadł na łóżku, czekając aż mu przejdzie, ale w jego głowie –– dziwaczne –– działo się coś, co nie chciało minąć.

– Mocna rzecz – wymruczał.

– Nasza praca nie należy do najłatwiejszych w świecie – delikatnie oznajmiła Aline. – Zasłużyliśmy na odrobinę odprężenia. Tylko dzisiaj, to wszystko co mamy. Jutro będzie kolejny dzień, i to gorszy.

Wcześniej, nigdy by się z nią nie zgodził. Miał zbyt chłodną i opanowaną naturę, ale obecnie wszystko to jakoś natychmiast stało się zupełnie sensowne. Skinął głową.

– No, i kochasz mnie, wiesz przecież o tym – powiedziała Aline.

I tak też było.

Dużo później, nachyliła się nad nim nisko w ciemności, jej włosy omiotły mu policzek. I wyszeptała pośpiesznie:

– Posłuchaj, Dominicu. Muszę ci o tym powiedzieć, nie zważając na konsekwencje. Musisz być na to przygotowany.

Zesztywniał, powróciło stare napięcie. Jej głos kontynuował, przytłumiony szept w ciemnościach nocy.

– Połączyłam się z Sol, przy pomocy tajnego nadajnika, i rozmawiałam z Fenrossem. On ma dobrze poukładane w głowie i natychmiast wiedział, co trzeba zrobić. To kiepskie wyjście, ale jedyne wyjście.

– Flota już zmierza w kierunku Betelgeuse. Merseianie sądzą, że większość naszych sił skoncentrowana jest w pobliżu Llynathawr, ale to tylko wspaniały przykład dezinformacji –– robota Fenrossa. Tak naprawdę, to główne siły są już całkiem blisko, i są one wyposażone w ekrany energetyczne nowego typu, które pozwolą im prześlizgnąć się przez kordon Betelgeusan, unikając wykrycia. Pojutrze w nocy, w Gunazar Valley w Borthudianach, wyląduje silna eskadra i utworzy przyczółek. Natychmiast wyruszą z niego wydzielone oddziały, aby zająć stolicę oraz schwytać Sartaza i cały jego dwór.

Flandry leżał cały zesztywniały z szoku po usłyszeniu tych wieści.

– Ale to oznacza wojnę! – wysapał. – Merseia zaatakuje natychmiast, i będziemy musieli również walczyć z Betelgeuse.

– Wiem. Ale Imperium zdecydowało, że tylko w ten sposób nasze szanse wzrosną. W przeciwnym przypadku, wygląda na to, że Betelgeuse i tak przejdzie na stronę wroga.

– Naszym zadaniem jest utrzymywanie Sartaza i jego dworu w nieświadomości, tak by nie podejrzewali prawdy aż do chwili kiedy będzie za późno. Musimy zatrzymać ich tutaj, w pałacu. Schwytanie przywódców monarchii absolutnej jest zawsze katastrofalnym ciosem… Fenross i Walton sądzą, że Betelgeuse podda się, zanim Merseia zdoła tutaj dotrzeć.

– Fortelem i sposobem, musisz Dominicu utrzymywać ich w nieświadomości. To twoje zadanie. A w tym samym czasie nadal zajmuj Aycharaycha, zabierz mi go z karku.

Potem ziewnęła i pocałowała go.

– Teraz już lepiej śpij – powiedziała. – Czeka nas kilka naprawdę ciężkich dni.

Nie mógł jednak zasnąć. Kiedy już zaczęła oddychać równo i cichutko, wstał z łóżka i wyszedł na balkon. Wiedza była oszałamiająca. Żeby Imperium, to opieszałe, dekadenckie Imperium, mogło zdecydować się na takie uderzenie i mieć nadzieję, że ujdzie mu to na sucho!

W ogrodzie poniżej coś się poruszyło. Światło księżyca rozlewało się kolorem ciemnej krwi na postaci, która szła pomiędzy dwoma merseiańskimi ochroniarzami. Aycharaych!

Flandry zesztywniał z oszołomienia. Chereionita spoglądał w górę, a na twarzy telepaty widniał mądry uśmiech. *On wiedział*.

W ciągu kolejnych dwóch dni, Flandry pracował tak ciężko, jak rzadko mu się to zdarzało w przeszłości. Chodziło tu nie tyle o pracę fizyczną, ale musiał stworzyć i utrzymać sieć intryg, tak aby nie dać Sartazowi szansy na prywatną audiencję dla Merseian oraz aby nie opuścił on stolicy wyruszając w jedną ze swoich podróży dla kaprysu. Musiał jeszcze zająć się kwestią poinformowania tych betelgeusańskich zdrajców, którzy przeszli na jego stronę, aby byli gotowi, i …

Wszystko to było niesamowicie wyczerpujące nerwowo. Co gorsza, działo się z nim coś niedobrego. Z trudem mógł utrzymać jasność myśli. Odkrył w sobie nową i katastrofalną skłonność, do tego by przyjmować wszystko za dobrą monetę. Co się z nim działo?

Tego ranka, po rewelacjach Aline, Aycharaych wymówił się, i zniknął. Był gdzieś daleko, organizując coś piekielnego dla Ziemian, kiedy ci już się tutaj pojawią, i Flandry nie mógł nic na to poradzić. Ale przynajmniej dało to jemu oraz Aline wolną rękę, aby zająć się własną robotą.

Wiedział, że przed lądowaniem Terran, merseiańska flota nie da rady dolecieć do Betelgeuse. Ukrycie przed wrogiem przybliżonego miejsca stacjonowania dużych zespołów własnych sił zbrojnych, było po prostu niemożliwe. W jaki sposób mogło się to udać Terranom, Flandry po prostu nie miał pojęcia. Przypuszczał, że do okupacji Alfzar przeznaczono niezbyt duży zespół uderzeniowy –– ale przez to jego misja stawała się jeszcze bardziej ryzykowna.

Z godziny na godzinę, napięcie wzrastało coraz bardziej. Aline poszła gdzieś we własnych sprawach, prawdopodobnie na naradę z generałem Bronsonem –– betelgeusańskim oficerem, ale człowiekiem, którego owinęła sobie wokół palca. Być może uda mu się zdezorganizować flotę tubylców, w chwili kiedy Terra uderzy. Merseiańska szlachta wyraźnie orientowała się, czego dowiedział się Aycharaych. Spoglądali na ludzi z otwartą nienawiścią, ale nie wykonali żadnej otwartej próby ostrzeżenia Sartaza. Być może nie mieli nadziei, że uda im się przedrzeć przez mur przekupionych i zbitych z tropu oficjeli, który zbudował wokół niego Flandry. Ale bardziej prawdopodobne było, że Aycharaych zasugerował im jakiś lepszy pian działania. Nie było po nich widać nawet śladu uczucia klęski, które z wolna wzbierało we Flandrym.

Czuł się jakby wpadł w pajęcze sieci, albo walczył z wciągającym go bagnem, które oślepiało go i dusiło, a on nie mógł się z niego wyrwać. Flandry wyglądał coraz gorzej, trząsł się, nerwy miał kompletnie stargane, a te dwa dni ciągnęły się jak wieczność.

Sprawdził w atlasie położenie doliny Gunazar. Była niezamieszkała i leżała w odludnym terenie. Była miejscem hulających wichrów i licznych smoczych legowisk. Dobry wybór na potajemne lądowanie –– tylko jak tajne mogło być to lądowanie, jeżeli Aycharaych o wszystkim wiedział i ewidentnie przygotował właściwą ripostę.

– Szanse nie są zbyt duże, Aline – mówił do niej. – Nawet modlitwa nic tu nie pomoże.

– No cóż, po prostu musimy brnąć w to dalej. – Była lepszej myśli, niż on, z każdą upływającą chwilą, zdawała się być coraz bardziej radosna.

Delikatnie pogładziła go po głowie. – Biedny Dominicu, nie jest to dla ciebie łatwe…

Ogromne słońce zatonęło właśnie poza horyzontem. Mijał drugi dzień, i dzisiejszej nocy nadejdą decydujące chwile. Flandry wszedł do wielkiej sali konferencyjnej i zauważył, że była ona niemal całkowicie pusta.

– Gdzie są Merseianie, wasza wysokość? – spytał Sartaza.

– Wszyscy wyjechali na jakąś misję specjalną – ostro rzucił władca. Wyraźnie był w nienajlepszym nastroju, z powodu gęstniejących wokół niego intryg, o których chciałby wiedzieć więcej.

Misja specjalna –– O wszechmogący bogowie!

Do środka weszli Aline i Bronson, przekazując monarsze wyrazy formalnego powitania.

– Za pozwoleniem waszej wysokości – oznajmił generał. – Za jakieś dwie godziny chciałbym pokazać waszej wysokości pewną rzecz, największego znaczenia.

– Tak, tak – wymamrotał Sartaz i dumnym krokiem wyszedł z sali.

Flandry usiadł i oparł głowę na jednej ręce. Aline delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Jesteś zmęczony, Dominicu? – spytała go.

– Tak – odparł. – Czuję się paskudnie. Po prostu ostatnio w ogóle nie jestem w stanie myśleć.

Skinęła na niewolnika, który podszedł i wysunął do przodu rękę z trzymanym w niej pucharem.

– To ci pomoże – powiedziała. Nagle zauważył w jej oczach łzy. O co tutaj chodzi?

Bez zastanowienia, wychylił do dna. Wstrząsnęło to nim, z trudem złapał oddech i złapał się za poręcze fotela, aby z niego nie spaść.

– Co u diabła… – wysapał z trudem.

Zawartość pucharu rozeszła się po jego ciele nagłym chłodem, przemieszczając się wzdłuż włókien nerwowych i zmierzając w stronę mózgu. Można było to porównać do ręki Aline, spoczywającej mu na głowie, uspokajającej, kojącej…

To jasne!

Nagle zerwał się na równe nogi. Cała ta niedorzeczna sprawa stanęła mu przed oczyma, z oczywistą groteskowością –– plątanina łgarstw, kompletnie pozbawione logiki monstrum!

Niemożliwe aby Flota mogła przesunąć cały zespół uderzeniowy, tak by wywiad merseiański o tym się nie dowiedział. Nie mógł istnieć żaden nowy ekran energetyczny, o którym by nie słyszał. Fenross nigdy by nie spróbował tak fantasmagorycznego planu, jak okupacja Betelgeuse, dopóki istniał choćby cień jakiejś innej nadziei.

A on wcale nie kochał Aline. Była bardzo odważna i śliczna, ale jej nie kochał.

Ale przecież *tak było*. Jeszcze trzy minuty temu, był w niej desperacko zakochany.

Spoglądał na nią rozbieganym wzrokiem, a w myślach kiełkowała mu niesamowita prawda. Skinęła mu głową, poważnie, nie troszcząc się o

otarcie spływających po policzkach łez. Jej wargi wyszeptały słowa, które z trudem zdołał wychwycić.

– Żegnaj. Żegnaj mój najdroższy.

IV

W Sali konferencyjnej ustawiono gigantyczny ekran telewizyjny, a przed nim rząd foteli przeznaczonych dla najważniejszych osób na Alfzar. Bronson podjął także odpowiednie środki ostrożności, obstawiając ściany królewskimi gwardzistami, którym mógł zaufać –– długie rzędy połyskującej stali i niewzruszonych niebieskich twarzy, milczące i nieruchome, jak potężne filary podtrzymujące wysokie sklepienie.

Generał chodził nerwowo przed ekranem, w tą i z powrotem, nieustannie bez potrzeby spoglądając na swój zegarek. Flandry siedział wyglądając na zupełnie odprężonego. Jedynie ktoś, kto go dobrze znal, mógł wyczytać w jego twarzy napięcie, skręcające się w nim jak naprężona sprężyna. Tylko Aline spoglądała na to wszystko z dystansem, za bardzo zagłębiona w swoje własne myśli, aby przejmować się rozwojem sytuacji.

– Jeżeli to nie wypali, to wiesz że prawdopodobnie nas powieszą – powiedział Bronson.

– Powinno być w porządku – odparł Flandry bezbarwnym głosem. Jeżeli nie, to nie robi mi specjalnej różnicy, czy będziemy wisieć, czy nie.

Nie był tak do końca szczery. Flandry był niesamowicie przywiązany do swojego życia, nawet pomimo wszystkich tych czarnych na wpół koszmarów, które czasami piętrzyły się, aby sprawiać mu męki.

Powietrze przeszył ostry dźwięk trąbki, wysokie tony fanfary, odbijającej się od ścian i drżących belek sufitu. Wszyscy powstali i wyprężyli się na baczność, podczas gdy do sali dostojnie wkraczał Sartoz wraz ze swoim dworem.

Kiedy jego żółte oczy wychwyciły trójkę ludzi, rozbłysła w nich podejrzliwość.

– Mówił mi pan, że ma to być pokaz dotyczący jakichś ważnych spraw – stwierdził stanowczo. – *Mam nadzieję*, że to prawda.

– Tak jest, wasza wysokość – uspokoił go Flandry lekkim tonem. Znajdował się z powrotem w swoim żywiole, szermując słowami, splatając z nich sieci mające usidlić umysły innych. – To sprawa tak ogromnego znaczenia, że powinna zostać wyjawiona waszej wysokości już wiele tygodni temu. Niestety, nie pozwalały na to okoliczności –– jak wasza wysokość za chwilę sam się o tym przekona –– tak więc lojalny generał waszej wysokości, został zmuszony do działania na własną rękę, z całą pomocą, jakiej tylko mogła mu udzielić Terra. Ale jeżeli wszystkie sprawy potoczyły się dobrze, to chwila ujawnienia prawdy, powinna jednocześnie być chwilą ratunku.

– I lepiej, żeby rzeczywiście taką była – złowieszczym tonem oznajmił Sartoz. – Ostrzegam was –– was wszystkich –– że mdli mnie już od tych szpiegowskich gierek i korupcji którą przywlokły ze sobą imperia.

Najwyższy czas, aby wyciąć te chore narośle ze zdrowej tkanki Betelgeuse.

– Terra nigdy nie życzyła Betelgeuse niczego poza dobrem, wasza wysokość – zadeklarował Flandry, – i tak się składa, że mogę przedstawić na to dowody. Jeżeli…

Jego słowa przerwała kolejna fanfara po której rozległ się okrzyk strażnika, odbijając się huczącym echem od ścian sali:

– Wasza wysokość, ambasador Imperium Mersei prosi o posłuchanie!

Drzwi wypełniła olbrzymia zielona postać Lorda Korvasha z Mersei, ociekająca złotem i drogimi kamieniami. A u jego boku stał –– Aycharaych!

Flandry na chwilę zesztywniał z szoku. Jeżeli jego wspaniały i śmiertelnie niebezpieczny przeciwnik wejdzie teraz do gry, to cały plan może się kompletnie zawalić. Budowla, którą zbudowała Aline, była śmiałą, ale niepewną konstrukcją. Najlżejszy cień rozsądnego argumentu, mógłby ją zdmuchnąć –– a wtedy zaczęłyby walić gromy!

W pałacu nikomu nie wolno było nosić broni palnej, ale miecz pojedynkowy był elementem stroju galowego. Flandry wyciągnął swój, z sykiem metalu, i głośno zawołał:

– Brać te istoty! Oni chcą zabić Sartaza!

Złote oczy Aycharaycha rozszerzyły się, kiedy dostrzegł to, co znajdowało się w umyśle Flandry’ego. Otworzył usta, aby zdemaskować Terran… i odskoczył do tyłu w ostatniej chwili, aby uniknąć morderczego pchnięcia człowieka.

Jego własny rapier wskoczył mu do ręki. Dwóch szpiegów spotkało się ze szczękiem stali.

Merseianin Korvash wyciągnął swoje ostrze w zwykłym odruchu.

– Powalić go na ziemię – krzyknęła Aline. Zanim zdumiony Sartoz zdążył się ruszyć, wyrwała z wiszącej mu u pasa kabury, pistolet paraliżujący i posłała Merseianina z hukiem na podłogę.

Pochyliła się nad nim, zwinnie wyciągając zza stanika maleńki pistolet laserowy, i wsunęła go w dłoń ambasadora.

– Proszę popatrzeć, wasza wysokość – powiedziała z zapartym tchem. – On miał przy sobie niebezpieczną broń. Wiemy, że Merseianie nie planowali niczego dobrego, ale nigdy byśmy nawet nie pomyśleli, że mogliby się ośmielić…

Sartoz wbił w nią swój bystry wzrok.

– Może lepiej poczekajmy, aby usłyszeć co ma do powiedzenia druga strona – wymamrotał.

Ponieważ Korvash jeszcze przez dobrą godzinę nie będzie miał możliwości przedstawić wyjaśnień swojej strony, Aline uznała, że odniosła zwycięstwo.

Ale co z Flandrym –– przyglądając się jak walczy z Aycharaychem, jej oczy zaczęły robić się coraz szersze i wciągnęła z sykiem powietrze. To był najszybszy, najbardziej morderczy pojedynek, jaki widziała w życiu, odskakujące postaci i rozmywające się z powodu szybkości ruchów klingi, do przodu i do tyłu, wzdłuż sali, w szczęku stali i krwi.

– Powstrzymać ich! – zawołała i uniosła paralizator.

Sartaz położył dłoń na jej ręce i odebrał jej broń.

– Nie – powiedział. – Pozwólcie im dokończyć. Od lat nie widziałem takiego pokazu.

– Dominicu… – wyszeptała.

Flandry zawsze myślał o sobie jako o niezrównanym szermierzu, ale Aycharaych mu dorównywał. Chereionicie przeszkadzała siła ciężkości, ale posiadał szybkość i precyzję ruchów, której nie mógł dorównać żaden człowiek. Jego wąskie ostrze ze świstem błyskało to tu, to tam, dookoła i pod obroną człowieka, sięgając twarzy, rąk, piersi, i przez cały czas uśmiechał się… uśmiechał.

Sama telepatia nie przynosiła mu specjalnej korzyści, jeżeli w ogóle jakąkolwiek. Szermierka jest sztuką opartą na szybkości reakcji –– przy jej dynamice nie ma czasu na świadome myślenie. Ale być może dawała mu ona dodatkowy margines, kompensując przez to problemy z ciążeniem.

Skok, uderzenie, pchnięcie, parada, szczęk i dźwięczenie zimnej stali, nie ma czasu by czuć kłujące ostrze narastającego zmęczenia –– taniec śmierci podczas którego cały dwór stał bezczynnie, wznosząc owacje.

Ostrze Flandry’ego znalazło miejsce, krew spłynęła po wychudzonym policzku Aycharaycha, a jego tunikę przecięły czerwone smugi. Plan Terranina był prosty, i jedyny jaki miał szansę zrealizować. Aycharaych powinien zmęczyć się szybciej niż on, jego reakcje powinny zacząć stawać się coraz wolniejsze… problem polegał na tym, aby utrzymać się do tego czasu przy życiu!

Pozwolił, aby Chereionita spychał go do tyłu, przez całą długość sali, skok po skoku, wywijając trzymanym w ręku świszczącym mieczem. Pchnięcie, parada, riposta, ponowienie… szczęk, klang! Szczękanie stali wypełniło całą salę, a Sartaz obserwował walkę z głodnymi oczyma.

Koniec nadszedł, kiedy zastanawiał się już, czy przeżyje na tyle długo, by zobaczyć kolejny świt Betelgeuse. Aycharaych pchnął i jego klinga przebiła lewe ramię Flandry’ego. Zanim zdołał ją uwolnić, człowiek wybił mu broń z ręki i przyłożył swoją sztychem do gardła Chereionity.

Cała sala rozebrzmiała szaleńczą owacją betelgeusańskich panów.

– Rozbroić ich – zawołał Sartoz.

Flandry wciągnął świszczący oddech.

– Wasza wysokość – wysapał. – Proszę mi pozwolić, abym przypilnował tego człowieka, podczas gdy generał Bronson będzie kontynuował nasz pokaz.

Sartoz zezwolił skinięciem głową. Pasowało to do jego poczucia tego typu spraw.

Flandry pomyślał z tryumfalną radością: *Aycharaychu, spróbuj chociaż otworzyć usta… pomóż mi tylko, a ja z chęcią przeszyję cię na wylot*.

Chereionita wzruszył ramionami, ale jego uśmiech zrobił się kwaśny.

– Dominicu, Dominicu! – krzyczała Aline, naprzemian śmiejąc się i płacząc.

Generał Bronson zwrócił się do niej. Był wyraźnie wstrząśnięty przez niemal ruinę ich planów.

– Czy możesz do nich przemówić? – wyszeptał. – Ja nie jestem w tym zbyt dobry.

Aline skinęła głową i śmiało wyszła do przodu.

– Wasza wysokość, i wy panowie dostojnicy dworu – wygłosiła, – teraz udowodnimy nasze twierdzenia dotyczące zdrady Mersei.

– My, Terranie, dowiedzieliśmy się że Merseianie planują zajęcie Alfzar i utrzymanie planety oraz was samych w niewoli, do czasu kiedy nie przybędzie ich flota, aby dokończyć podboju. W tym celu zebrali się tej nocy w Gunazar Valley w Górach Borthudiańskich. Eskadra pojazdów latających ma zaatakować i zdobyć pałac…

Czekała dopóki nie opadnie zgiełk.

– Nie mogliśmy o tym powiedzieć waszej wysokości, ani żadnemu z najwyższych dostojników dworu – chłodnym tonem ponownie podjęła przemowę, – ponieważ merseiańscy szpiedzy byli wszędzie, i mieliśmy powody do tego, by wierzyć, że jeden z nich potrafi czytać wasze myśli. Gdyby się dowiedzieli, że ktoś poznał ich plany, musieliby zacząć działać natychmiast. Zamiast tego, skontaktowaliśmy się z generałem Bronsonem, który nie był na tyle wysoko postawiony, aby przyciągnąć ich uwagę, ale który posiadał dostatecznie dużą władzę, aby działać tak, jak wymagała tego sytuacja.

– Przygotowaliśmy pułapkę na wroga. W tym celu zamontowaliśmy w dolinie teleskopowe telekamery. Za waszym pozwoleniem, pokażę panom, co się tam dzieje, dokładnie w tej chwili.

Przekręciła włącznik i ekran obudził się do życia. Pojawiły się na nim nagie granie i strzelające w górę, w stronę czerwonych księżyców, ściany skalne. A w półmroku wrzała gorączkowo jakaś działalność. Wszędzie poruszały się opancerzone postaci, ustawiające działa atomowe, rozgrzewające silniki statków kosmicznych. To byli Merseianie.

Sartaz wywarczał przekleństwo. Ktoś inny zapytał:

– A skąd mamy wiedzieć, czy transmisja nie jest sfałszowana?

– Sam osobiście będzie pan mógł obejrzeć ich szczątki – oznajmiła Aline. – Nasz plan był bardzo prosty. Rozmieściliśmy w ziemi atomowe miny lądowe. Są zdalnie sterowane przez radio. – Wyciągnęła małe pudełeczko z przełącznikiem, podłączone kablem do telewizora, a uśmiech na jej twarzy wyglądał wyjątkowo ponuro. – Oto detonator. Może wasza wysokość osobiście zechce nacisnąć przycisk?

– Proszę mi to dać – gardłowo powiedział Sartaz. Nacisnął palcem przełącznik.

Niebiesko-białe światło piekielnego ognia, rozjaśniło ekran. Zobaczyli wyrzucane w górę fontanny ziemi, zapadające się i przewracające skalne ściany, chmurę radioaktywnego kotłującego się pyłu, wyrzucanego w górę, w stronę księżyców, a potem ekran pociemniał.

– Kamery uległy zniszczeniu – spokojnie oznajmiła Aline. – Teraz sugeruję, aby wasza wysokość natychmiast wysłała tam zwiadowców. Znajdą wystarczająco dużo szczątków, aby zweryfikować to, co pokazywał nam telewizor. Ośmielę się także zasugerować, że państwo utrzymujące potajemnie uzbrojone siły na waszym własnym terytorium, nie ma przyjaznych zamiarów!

Korvash i Aycharaych mieli zostać deportowani, razem ze wszystkimi innymi Merseianami, jacy jeszcze pozostali w układzie –– Betelgeuse natychmiast zerwała stosunki dyplomatyczne z ich państwem i rozpoczęła negocjacje na temat zawarcia sojuszu z Terrą. Wieczorem, dzień przed odlotem Flandry wydał dla nich małe przyjęcie, w swoim apartamencie. Kiedy Merseianie weszli, w środku byli tylko on i Aline.

– Gratulacje – cierpko stwierdził Aycharaych. – Sartaz był tak wściekły, że nawet nie chciał słuchać naszych protestów. Nie mogę go za to specjalnie winić –– bez wątpienia udało się wam postawić nas w bardzo złym świetle.

– A przecież wart Pac pałaca – gniewnie chrząknął Korvash. – Niech pana diabli wezmą, za tę pańską kłamliwą hipokryzję, Flandry. Sam pan dobrze wie, że Terra również ma swoje oddziały i agentów w Układzie Betelgeuse, ukryte na dzikich księżycach i asteroidach. To jest część gry.

– Oczywiście, że o tym wiem – uśmiechnął się Terranin. – Ale czy wie o tym Sartaz? Tym niemniej, tak jak sam pan powiedział –– to jest gra, wielka gra. Nie nienawidzi pan przecież kogoś kto pokonał pana w szachy. Dlaczego więc nienawidzi pan nas za to, że to my wygraliśmy tę rundę?

– Och, ja z pewnością nie – zadeklarował Aycharaych. – Będą jeszcze kolejne rundy.

– Straciliście dużo mniej, niż byłoby to w naszym przypadku – zauważył Flandry. – Ten sojusz wzmocnił Terrę w stopniu dostatecznym do tego, by mogła powstrzymać wasze projekty. Ale my nie mamy zamiaru wykorzystać tej siły do wywołania wojny z wami, chociaż muszę przyznać, że pewnie powinniśmy. Imperium chce jedynie utrzymania pokoju.

– Ponieważ brak mu odwagi do walki – ostro rzucił Korvash.

Nic nie odpowiedzieli. Być może myśleli o miastach, które nie zostały zbombardowane, oraz o młodych ludziach, którzy nie musieli wyruszać w kosmos, by tam ginąć na wojnie. A być może tylko po prostu cieszyli się zwycięstwem.

Flandry rozlał wino.

– Za naszą przyjazną wrogość w przyszłości – wzniósł toast.

– Nadal nie mam pojęcia, jak pan to zrobił – powiedział Korvash.

– To robota Aline – odparł Flandry. – Aline, opowiedz im.

Pokręciła przecząco głową. Wycofała się w oazę spokoju, która była dla niej czymś całkowicie obcym.

– No, dalej, Dominicu – wyszeptała. – Tak naprawdę, to był twój popis.

– No cóż – stwierdził Flandry, nie wykazując specjalnej niechęci do opowieści, – kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że pan Aycharaych potrafi czytać w naszych myślach, cała sprawa wyglądała dosyć beznadziejnie. W jaki sposób można by okłamać telepatę? Aline znalazła na to odpowiedź – – po prostu poprzez przekazanie mu informacji, która nie jest prawdziwa.

– W tym układzie mają pewien narkotyk, który nazywa się *sorgan*. Ma on właściwości powodujące, że po jego zażyciu człowiek wierzy we wszystko co mu się powie. Aline podała mi go, bez mojej wiedzy, a potem naopowiadała mi fantastycznych łgarstw o Terrze przybywającej aby zająć Alkazar. A ja oczywiście, zaakceptowałem to jako absolutną prawdę. Którą z kolei pan, Aycharaych wyczytał w moich myślach.

– Byłem zaskoczony – przyznał Chereionita. – To po prostu nie trzymało się dla mnie kupy. Ale, jak sam pan powiedział, wydawało się, że nie ma sposobu na okłamanie telepaty.

– Potem główną troską Aline było trzymanie się poza zasięgiem odczytu myśli – mówił dalej Flandry. – Pomogliście nam w tym waszym wyjazdem, w celu przygotowania ciepłego powitania dla Terran. Zebraliście wszystkie swoje siły w dolinie, gotowi do zestrzelenia naszych statków z nieba.

– Ale dlaczego nie poszedłeś do Sartaza z tym, czego się dowiedzieliśmy… czy też wydawało się nam, że się dowiedzieliśmy? – oskarżycielsko spytał Korvash.

Aycharaych wzruszył ramionami.

– Zdawałem sobie sprawę, że kapitan Flandry zrobi wszystko, aby mi to uniemożliwić i zdyskredytować każdą informację, jaką zdołałbym dostarczyć na taki wysoki szczebel – odparł. – Sam przecież zgodziłeś się, że naszą najlepszą możliwością będzie samodzielne odparcie pierwszego ataku. To dałoby nam dużo większe zasługi u Sartaza. Ponadto, ponieważ doszłoby do otwartego wystąpienia obu stron, wojna między Betelgeuse i Terrą stałaby się nieunikniona. Tymczasem gdyby Sartaz dowiedział się wcześniej o grożącym ataku, mógłby próbować negocjacji.

– Też mi się tak wydaje – ponuro przyznał Korvash.

– To Aline, oczywiście nakłoniła Bronsona, żeby zaminował dolinę – powiedział Flandry. – Resztę już chyba panowie wiecie. Kiedy pokazaliście się panowie w pałacu…

– Żeby powiedzieć Sartazowi, kiedy było już za późno – wtrącił Aycharaych.

– …obawialiśmy się, że panów argumenty mogą zniszczyć nasze przedstawienie. A więc użyliśmy przemocy, do uciszenia was na czas jego trwania. – Flandry rozłożył ręce w geście finału. – I tak właśnie to się odbyło, panowie.

– W przyszłości będą jeszcze kolejne dni – łagodnie oznajmił Aycharaych. – Ale cieszę się bardzo, że dzisiejszego wieczora, mogliśmy spotkać się w pokoju.

Przyjęcie trwało długo, niemal do świtu. Kiedy obcy wychodzili, z licznymi, nieco podchmielonymi, wyrazami dobrej woli i szacunku, Aycharaych ujął dłoń Aline w swoje własne, kościste palce. Jego dziwne,

złote oczy spojrzały głęboko w jej, nawet pomimo tego że wiedziała, że jego umysł przeszukuje głębiny jej myśli.

– Do widzenia, droga pani – powiedział zbyt cicho, by inni mogli dosłyszeć. – Dopóki istnieją takie kobiety jak pani, myślę, że Terra przetrwa.

Obserwowała, oddalającą się korytarzem wysoką postać, a jej wzrok lekko się rozmywał. To dziwne, pomyślała sobie, że wróg mógł wiedzieć to, o czym stojący u jej boku człowiek nie miał najmniejszego pojęcia.

KONIEC